

Andrzej Tomaszewski

Mróz wg AT

Mroza poznałem późno, bo dopiero na początku 1980 roku w wydawnictwie książkowym Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, gdzie w latach 1972–1981 ukazywał się „Nowy Wyrz”. Wcześniej zdarzało mi się podczytywać miesięcznik z zamieszczanymi z rzadka, ale zwracającymi uwagę wierszami Krzysztofa. Do dzisiaj pamiętam ten, w którym Black Mister Dada kazał prenumerować w Afryce „Nowy Wyrz”.

Pracował w dziale produkcji, ja w pracowni graficznej i redakcji technicznej, a nasze funkcje były ze sobą ściśle związane. Mróz odpowiadał za kontakty z drukarniami, ja zaś zajmowałem się przygotowywaniem materiałów wydawniczych do druku. W bezkomputerowym czasie proces powstawania książki warunkowały technologie poligraficzno-wydawnicze realizowane przeważnie na terenie drukarni. Ogólnie rzecz ujmując, naszym zadaniem było przekładanie rozmaitych pomysłów graficznych i redaktorskich na język sztywnych technik drukarskich (ołowiany skład, cynkowe klisze, zgrzebny papier, nędzna farba itd.). MAW-owskie książki drukowano w Warszawie, Krakowie, Koszalinie, Białymstoku itd. Krzysiek dbał o kompletność materiałów wydawniczych, obieg korekt i wymianę technicznych danych z drukarniami, o prawidłowy rytm nieustannego ping-ponga pomiędzy redakcjami, zecerniami, introligatorniami – od maszynopisu do gotowej książki.

W tamtych latach dotyczyło to fizycznych materiałów: maszynopisów, odbitek próbnych, zdjęć, klisz fotograficznych, drukarskich arkuszy lub egzemplarzy sygnałnych itp. Nie było maili, komunikatorów i łączy internetowych, serwerów FTP, smartfonów i innych udogodnień, dzięki którym dzisiaj elektroniczne makiety książek i informacje przekazujemy do drukarni w innym mieście nie ruszając się od biurka. Podstawowymi instrumentami komunikacji były wówczas kolejowa poczta dworcowa, stacjonarny telefon, goniec na krótkie dystanse, a na dłuższe – służbowy samochód.

Zadziwiające, jak Krzysztof, mentalnie przebywający często w rejonach poetyckiej wyobraźni i paradoksalnych skojarzeń oraz pośród groteski funkcjonowania przedsiębiorstwa-molocha w okresie rozsypującego się socjalizmu, potrafił utrzymać dyscyplinę zawodowych kontaktów dotyczących kilkudziesięciu książek w kilkunastu zakładach

poligraficznych i w różnej fazie technologicznej. W dziale produkcji, rzecz jasna, nie był sam. Kilkuosobowym zespołem sprawnie kierował Adam Szczerek – redaktor techniczny „Nowego Wyrazu”.

Wydawnictwo książkowe MAW mieściło się gmachu dawnej YMCA przy ulicy Konopnickiej. Tam we wrześniu 1980 r. założyliśmy komisję zakładową „Solidarności”, która z czasem stała się bazą organizacji w całej Agencji, obejmującej też kilkanaście czasopism i gazet. Krzysiek był współzałożycielem komisji „w książkach”, którą 9 października 1980 roku we trójkę, wraz z Jolą Klecel, zarejestrowaliśmy w Regionie Mazowsze pod numerem 322. W działaniach bardzo pomogli nam Ania Adamiak, Waldek Wojnar i dynamiczna, wspaniała Marysia Kaufman czyli – Maryna.

Powiesiliśmy w korytarzu na Konopnickiej tablicę informacyjną związku, którą jakaś blada twarz kilkakrotnie zdejmowała pod naszą nieobecność. Krzysiek przyniósł więc gwóźdź niehumanitarnego rozmiaru. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Przybiliśmy tablicę z obawą, że żelazo wylezie w pomieszczeniu po drugiej stronie ściany. Twierdził, że jak wylezie, to możemy zaklepać, żeby lepiej trzymało.

Pomysły Mroza często były nietuzinkowe, ale zwykle trafne. W pokoju na półce miałem kilka zawodowych podręczników i poradników, z których każdy mógł skorzystać. Na szmucu pisałem w nich „moja” i stawiałem pieczętkę: „kierownik Redakcji Technicznej – Andrzej Tomaszewski”. Niebawem w pracowni graficznej MAW-u przy ulicy Prostej uruchomiłem wypożyczalnię publikacji drukowanych poza cenzurą. Zastanawiałem się głośno, jak te książki oznakować. Krzysztof natychmiast zaczął przybijać na nich tę służbową pieczętkę i powiedział: – Pisz na wszystkich „moja”. Oznaczenie jest już znane, ludzie lubią cię, to nikt nie gwizdnie.

Przyszedł stan wojenny, czystki personalne i osławione weryfikacje. Jako przewodniczący książkowej „Solidarności” pierwszy wyleciałem z roboty i zostałem królikiem doświadczalnym w Sądzie Pracy. Koledzy chcieli wiedzieć, co ewentualnie można uzyskać w tej instancji. Koronnym zarzutem dyrektora był brak dyplomu ukończenia studiów, w jego oczach dyskwalifikujący mnie na zajmowanym stanowisku. Ponieważ wcześniej osobiście przyjmował mnie bez tego dyplomu, więc sytuacja była absurda. Mróz pomagał mi szykować argumenty wystąpień przed sądem i w pewnym momencie spytał, czym mogę pochwalić się wobec braku uczelnianego dyplomu. Przypomniałem sobie, że mam Dyplom Czyścioszka z przedszkola. – Koniecznie powiedz to przed

sądem – zarządził. Umęczona długą wokandą pani sędzia parsknęła śmiechem.

Ale i tak mnie wywalili. Niebawem okazało się, że z wilczym bilettem. Krótco potem przyszedł jako pocieszyciel z flaszką wódki „Kryształ” – straszne świństwo, ale nic innego nie znalazł w sklepie. Pierwszy kielonek „Kryształu” powodował wstrząs anafilaktyczny, a na drugi dzień był twardy kac. Wlaliśmy do wódki całą buteleczkę kropli miętowych i do zamrażarki. Matowa delikatna zieleń, pachnąca i opalizująca w kieliszkach sprawiła nam prawdziwą przyjemność.

* * *

Któregoś dnia spotkaliśmy się na Nowym Świecie. Mróz złapał mnie za kłapy – TRYLET, kapujesz? Poszliśmy do „Bajki” na kawę. Zajeżdżało starą wilgotną szmatą i zleżałymi petami. Była jedna wu-zetka, którą wzięliśmy na pół. Z przejściem przedstawiał koncepcję swojej idei tryletu. Słuchałem uważnie, ale choć rozumiałem poszczególne wyrazy, nie bardzo docierał do mnie sens zdań. Wszystko wirowało w surrealistycznych Krzyśkowych myślach, grających w berka. Tamtego dnia byłem za krótki żeby pojąć, zresztą do dzisiaj nie do końca rozumiem. To był jakiś melanz heglowskiej triady, trójkąta poznawczego, ładu kosmicznego, a nad wszystkim unosiło się *triangulum mortis*. Potem przypomniiał mi się trójnożny zydel na polepie znajomej stodoły. Był stabilny i dobrze było na nim siedzieć pomimo nierównego klepiska. Mrozowi potrzebny był trylet, aby zrównoważyć i zracjonalizować gonitwę myśli i skojarzeń.

* * *

W 2005 albo 2006 roku, najpewniej na wiosenno-letnim balkonie mieszkania Krzysztofa Karaska, powstał pomysł wydawania magazynu literackiego. Tandem Karasek i Mrozowski stworzył koncepcję czasopisma, które nie miało i nie chciało mieć nic wspólnego z wszechobecną popkulturą i łechtaniem gustów gawiedzi. W zerowym numerze „Pióra” znajduje się wstępniak redaktora naczelnego, Krzysztofa Karaska, krótko wykładający credo redakcji. Kto chce, może tam zajrzeć.

Namówiony przez Mroza przygotowywałem makietę czasopisma. Założenia projektowe przewidywały tygodnik lub dwutygodnik formatu A3 przeznaczony do sprzedaży w kioskach, o czytelnej typografii, bez fajerwerków, inny w porównaniu z obecnymi na rynku periodykami, wręcz konserwatywny w wizualnej formie. Pracowałem nad kształtem



Na balkonie mieszkania
Krzysztofa Karaska

„Pióra”, konsultując z Mrozem pomysły, które przedstawiałem mu na wydrukach w skali 1:1. Spotykaliśmy się w kawiarni „Nowy Świat”, bo tam w sali głównej stał duży stół, idealny do rozłożenia projektów.

Równolegle z koncepcją graficznej postaci pisma powstawało kolegium redakcyjne, kompletowane przez Karaska. Charakterystyczną cechą zespołu była jego merytoryczna samowystarczalność. Trafiły doń osoby znające się na rzeczy, mające rozległe kontakty środowiskowe i zawodowe w całym kraju, zdolne do skutecznego, systematycznego gromadzenia zawartości pisma. Oto oni: Krzysztof Karasek (naczelny), Krzysztof Mrozowski (zastępca naczelnego), Zdzisław Skrok (sekretarz redakcji), Andrzej Tomaszewski (typograf) oraz redaktorzy działowi – Jarosław Markiewicz (poezja), Wacław Holewiński (proza), Rajmund Kalicki (esej), Krzysztof Zaleski (krytyka), Adam Myjak (sztuka), Erazm Ciołek (fotografia). W czasie powstawania pisma wspomagali nas doświadczeni dziennikarze, Grzegorz Cydejko i Tomasz Wołek.

W końcu uznałem projekt za gotowy i Mróz przystał na pokazanie go kolegom. Po ich akceptacji miałem do zrobienia wzorcową makietę z wszelkimi typograficznymi uwarunkowaniami i parametrami techniczno-redakcyjnymi oraz tzw. szpigiel, który podczas pracy nad kolejnymi numerami będzie wypełniany materiałami redakcyjnymi.

Karasek zarządził oglądanie projektu w barze restauracji „Kasztelan” na Nowogrodzkiej. Oprócz niego przybyli Mrozowski, Holewiński, Skrok, Myjak, Cydejko i może ktoś jeszcze. Mocno stremowany przedstawiałem wizualne oblicze „Pióra” do zbiorowej akceptacji. Denerwowałem się, choć przecież już z niejednego pieca chleb jadłem. Mróz,

który znał projekt z kolejnych faz jego powstawania, twierdził, że jest udany. Uważał, że jestem głupi ze swoją niepewnością i na nerwy zaordynował zażycie pięćdziesiątki. Nie bardzo jednak pomogło i pozostałem mocno przejęty. Rozłożyłem arkusze makiety na długim kontuarze baru, uprzątniętym na tę okoliczność. Superarbitrem był Adam Myjak, rektor ASP w Warszawie. Pochwalił projekt, a ja dostałem od Mroza drugą pięćdziesiątkę. Potem szybko jeszcze trzecią.

Następny pokaz makiety odbył się w wydawnictwie Rzeczpospolita SA w Alejach Jerozolimskich. Miał dużo poważniejsze znaczenie, bo należało przekonać potencjalnego wydawcę do przyjęcia całego projektu czasopisma z jego formą, treścią i spodziewaną funkcją. Istny Krzyśkowy trylet. Podczas kluczowego spotkania był z nami Tomasz Wołek, którego obecność spajała oba gremia – redaktorów „Pióra” i kierownictwo Przedsiębiorstwa Wydawniczego Rzeczpospolita SA. Generalna koncepcja czasopisma spodobała się na tyle, że dostaliśmy pomieszczenie redakcyjne w parterowym domku na podwórzu i zgodę na przygotowanie do druku próbnego numeru.

Niestety, z dnia na dzień psuły się stosunki między „Piórem” a wydawcą. Skupiony na swojej robocie nie śledziłem wypadków uważnie i nie brałem udziału w rozmowach na górnych piętrach. Widziałem jednak, że Mróz jest coraz bardziej wkurzony i że porozumienie systematycznie się rwało. Walczył o sprzęt dla redakcji, o możliwość wykonywania wydruków próbnych, o codzienne pracowe sprawy. Krzysztof Karasek, poddawany presji wydawcy, bronił integralności stworzonego zespołu i nie zgadzał się na dołączenie nowych osób, o których nie bardzo było wiadomo, jakie mają mieć zadania. Słusznie też bronił swojej pozycji jako redaktora naczelnego i założyciela „Pióra”.

Intensywnie pracowaliśmy jednak nad treściowym i technicznym zamknięciem numeru próbnego. Wszystkie prace DTP oraz polonizację niezbędnych fontów robiłem w domu na własnym komputerze, dobrze oprogramowanym do prac tego rodzaju. Klarowałem Mrozowi, żeby nieco odpuścić z komputerami, bo na razie damy sobie radę i tych na górze nie ma co namolnie drażnić. Naiwnie myślałem, że gdy ukażą się efekty naszej pracy, sprawa sprzętu ruszy z miejsca. Krzysiek wiedział jednak, że kwestia ta jest probierzem intencji wydawcy i nie ustawał w zabiegach. W końcu Zdzisiek Skrok, sekretarz redakcji i ja dostaliśmy komputery. Mój był nawet dość silny, ale bez należytego oprogramowania i połączenia ze światem. W jego konfigurację należało włożyć dużo wysiłku i fachowej konsultacji.

Bardzo liczyłem na stałą pracę w redakcji. Zresztą nie tylko ja. Mróz i Zdzisiek Skrok też bardzo potrzebowali pewnego źródła dochodów i perspektywy systematycznej, satysfakcjonującej pracy. Mieliśmy wizję działania wykraczającego poza karty „Pióra”. Chcieliśmy, aby nasza redakcja stała się obszarem intelektualnej przygody nie tylko bezpośrednio zaangażowanych osób. Aby była żywym miejscem spotkań literatów, katalizatorem pomysłów i polemik.

Zerowy numer „Pióra” został wydrukowany, a w Rzeczypospolitej SA zorganizowano nawet przyjęcie z tej okazji. Był to jednak już koniec i wszyscy rozeszli się w swoje strony. Na posterunku pozostał tylko Krzys Mrozowski, walczący o wypłacenie naszych honorariów.

„Pióro” nr 0/08 wyszło spod prasy łańcuckiej Drukarni Techgraf na dwóch rodzajach papieru, z dwoma wariantami kolorystycznymi okładkowej ilustracji. Dzisiaj egzemplarze wydania są rarytasem bibliofilskim.

* * *

Nie mógł już wychodzić z domu, a kontakt ze światem zapewniał mu komputer. Poczta internetowa i Facebook były jego żywiołem. Krzysiek nie odróżniał systemu operacyjnego od oprogramowania użytkowego, a laptop stanowił dla niego swoisty amalgamat ikon, okienek, tekstów, grafik, poleceń i domysłów. Jego podstawowym narzędziem, obok facebookowego komunikatora, był program pocztowy w którym obrabiał wszystko: korygował tekst i nadawał mu formę, gromadził i tworzył archiwum wszechrzeczy, wysyłał i przyjmował, dyskutował i marzył.

– Jak już wcale nie będzie ci się chciało wstać z krzesła, to odlejesz się w Outlooku – powiedziałem.

Byłem u Krzyska w domu na kilka dni przed wzięciem go do szpitala. Z trudem podszedł do komputera oglądać moje szkice typograficzne planowanego tomu poezji. Gdy na koniec wychodziłem, zawołał:

– Uważaj na pierdolonego kota, żeby nie wybiegł na klatkę.

To były ostatnie słowa Mroza skierowane do mnie.